Rozmaitości

DNIĄ 10. SIERPNIA N^er. 32. 1833 ROKU.

LAURA, CZYLI: CZERWONA PIECZĘĆ.

Historyja pułkowa. (Tłómaczenie z dziennika paryzkiego: *Petit Courrier des Dames.*)

I.

SPOTKANIE SIĘ MOJE NA WIELKIM GOŚCIŃCU.

Wielki gościniec z Artezyi do Flandryi jest długi i smętny. Ciągnie się w kierunku prostym, nie otoczony rowami, nie ocieniony drzewy, po płaszczyznach i równinach glinkowatych i w każdéj porze roku błotnistych. W miesiącu marcu 1815, jadąc tym gościńcem, miałem spotkanie, którego nigdy nie zapomnę. — Byłem sam, jechałem konno, miałem na sobie płaszcz dobry, kaszkiet czarny, w olstrach parę pistoletów, a u boku wielkie szablisko; przez cztéry doby mojego marszu dniem i nocą lał dészcz jak z konwi i przypominam sobie, żem z całego gardła spiéwał jakąś piosnkę. Ach byłem w ówczas tak młody! Dom królewski w roku 1814 pełen był dzieci i starców; zdawało się, że za cesarstwa wszyscy mężczyzni wyrekrutowani polegli w bojach. Towarzysze moi wyprzedzili mię znacznie na tém gościńcu w orszaku króla Ludwika XVIII.; widziałem białe ich płaszcze i czerwone kurtki tuż przy widnokręgu północnym; na widnokręgu przeciwległym połyskiwał kiedy niekiedy płomień trójkolorowych chorągiewek u pik lancyjerów Bonapartego, idących krok w krok za nami i zasłaniających nasz odwrót. Koń mój zgubił podkowę i spaźniał się; było to młody i silny rumak, spinałem go ostrogami, aby dopędzić mojego szwadronu; puścił się czwałem; założyłem rękę za pas dosyć dobrze naszpikowany złotem, słyszałem szczęk pochwy żelaznej mego szabliska, tłuczącego się o strzemię; byłem bardzo dumny i zupełnie szczęśliwy. Dészcz lał ciągle, a ja spiéwałem, lecz zamilkłem wkrótce znudzony, że oprócz siebie nikogo nie słyszę. Słyszałem tylko plusk dészczu i stąpanie mojego konia, brnącego w błocie. Nareszcie zabrakło na drodze gruntu i zagrzązłem; trzeba było zsiąść z konia; na ogromnych palonych bótach moich było na piędź gliny, a w nich pełno wody; spojrzałem na moje złote, zupełnie nowe epolety, stanowiące całe moje szczęście i całą pociechę, sponiewiérane były od słoty; zasmuciłem się. Koń mój zwiesił głowę i ja także i po raz piérwszy zapytałem się sam siebie, dokąd jadę. Sam nie wiedziałem, lecz myśl ta nie długo mię zatrudniała; byłem pewny, że tam na przeciw mnie, gdzie jest mój szwadron, jest także moja powinność; czując w sercu spokojność głęboką i niezachwianą, podziękowałem za to temu niewymownemu uczuciu i chciałem je sobie wytłómaczyć. Widząc z blizka, jak ochoczo młodzieńce i osiwiałe w służbie starce znoszą trudy nadzwyczajne, jak tylu ludzi życia szczęśliwego i światowego w zawodzie rycérskim puszcza na los przyszłość swoje zapewnioną, i dzieląc sam to dziwne zadowolenie, pochodzące dla każdego człowieka z przekonania, że nie powinien wyłamywać się z pod praw honoru, pojąłem, że p o ś w i ę c e n i e się jest rzeczą daleko powszechniéjszą, jak się komu zdaje. Zapytałem siebie, czyli uczucie poświęcenia się jest nam wrodzone; cobyto było owa potrzeba posłuszeństwa i poddania woli swojéj pod obce ręce, jakby rzeczy nam samym ciężącéj; zkądby pochodziła owa w duszy błogość,

)(

kiedy tym sposobem pozbędziemy się tego ciężaru, i dla czego duma ludzka nigdy się na to nie oburzyła. Widziałem dobrze, jak tajemniczy ten instynkt zewsząd ścisłym węzłem łączy rodziny i narody, lecz nigdzie tak zupełnego i tak bohatérskiego, jak w wojsku, nie widziałem zrzeczenia się swych czynów, swych słów, swych chęci i prawie swoich myśli. W tych myślach szedłem mimowolnie za mym koniem, poglądając często na zégarek i widząc przed sobą ciągnącą się zawsze w kierunku prostym drogę, bez drzew bez domów, i przecinającą płaszczyznę aż do widnokręgu, jak długi pas żółty na szarém płótnie. Wpatrując się z uwagą w ten pas żółty drogi, spostrzegłem niemal o ćwierć mili ode mnie ruszający się mały punkt czarny; ucieszyłem się, byłto ktoś. Nie odwracałem od niego oczu. Uważałem, że punkt ten, jak ja, idzie w kierunku do miasta Lille, lecz nie prosto, ale w zygzag, co mi zapowiadało utrudzony jego chód; pośpieszyłem i tyle zbliżyłem się do tego przedmiotu, że się w oczach moich naciągnął i powiększył. Doszedłszy do drogi trochę tęższéj wsiadłem na konia, a pospieszywszy widziałem coś do małego czarnego wózka podobnego: byłem głodny, spodziewałem się, że wózek ten należy do markietanki, a uważając biednego konia mego za rodzaj statku wodnego, nagliłem nań, aby żywo robił wiosłami, abyśmy co prędzéj przybyli do téj szczęśliwéj wyspy na tém morzu, gdzie czasem po brzuch zagrzęzał. O sto kroków poznałem przecież jasno mały wózek z drzewa białego, nakryty trzema kabłąkami i czarném woskowaném płótnem; wszystkoto podobne było do kolébki na dwóch kółkach; kółka aż po osi zagrzęzały w błocie; małego muła, który wózek ten ciągnął, prowadził z trudnością za uzdeczkę człowiek pieszą idący; zbliżyłem się do niego i zacząłem pilnie go uważać.

Byłto człowiek niemal pięćdziesiąt-letni, z wąsami siwémi, wysoki i mężny z wypukłym grzbietem, jak u starych oficérów piechoty, którzy niegdyś nosili tornistrę. Jakoż miał taki uniform i z pod małego płaszcza wyglądały niebieskie krótkie i wytarte epolety szefa batalijonu; miał wzrok marsowy, lecz dobry, jakich tyle można spostrzeć w wojsku; spojrzał na mnie ukosem spod swych gęstych czarnych brwi, porwał rączo z wózka swego strzelbę i skoczywszy za wózek, stanął jak za okopem i złożył się do wystrzału; ujrzawszy białą jego kokardę dosyć mi było pokazać mu rękaw mojéj czerwonéj kurtki; wnet położył strzelbę nazad na wózek i rzekł: »A! to co innego, wziąłem cię był za jednego z tych paniczów, co nas napadają. Chcesz się trochę napić?« — »Dobrze,« odpowiedziałem, zbliżając się do niego, »od 24 godzin ani kropli nie miałem w ustach.« Miał na plecach flaszkę kokosową, bardzo pięknie rzniętą, ze srébrną szyjką, którą widocznie się chełpił, podał mi ją i napiłem się trochę złego białego wina z wielką satysfakcyją. Oddałem mu flaszkę. »Za zdrowie króla!« rzekł pijąc; »zrobił mię oficérem legii honorowéj, słuszna abym go aż do granicy odprowadził;... ja na przykład ponieważ nié mam nic, prócz moich epoletów do życia, poźniéj obéjmę swój batalijon. Jestto moją powinnością.«

Tak rozmawiając niby sam z sobą, ruszył swym małym mułem, rzekłszy, że nié mamy czasu do stracenia, a ponieważ i ja byłem tego zdania, ruszyłem za nim o parę kroków. Ciągle patrzałem na niego nie pytając go o nic, ponieważ nié miałem nigdy owéj gadatliwéj ciekawości, która tak często jest pomiędzy nami. Szliśmy w milczeniu blizko ćwierć mili, a gdy się ón zatrzymał, aby dać wypocząć swemu biednemu mułowi, nad którym mię litość brała, i ja zatrzymałem się, aby ściągnąć bóty i wylać z nich wodę, w któréj nogi moje pływały. »Bóty wćpana zaczynają przyrastać mu do nóg,« rzekł do mnie. — »Od cztérech nocy nie zrzucałem ich.« — »Ba! za ośm dni ani pomyślisz o tém,« odpowiedział głosem ochrypłym, »biéda być samemu w czasach, w jakich my żyjemy. Wiesz wćpan, co ja tam mam?» — »Nie wiém,« odrzekłem. — »Jestto kobiéta.« — »A ha!« odpowiedziałem bez wielkiego zadziwienia i spokojnie puściłem się w drogę, a ón za mną. »Ta taradajka nie wiele mię kosztowała i muł téż nie wiele, lecz mnie więcéj nie potrzeba, chociaż droga ta długa, jak cygański batóg.« Zaproponowałem mu, żeby wsiadł na mego konia, jak się zmorduje, a ponieważ tylko seryjo i po prostu, stosownie do jego ubioru i zaprzęgu, mówiłem, on

natychmiast, bez korowodów, zbliżył się do mego strzemienia, uderzył mię po kolanie i rzekł: »No, jesteś łepskim chłopakiem chociaż w czerwonéj kurtce.« Po jego cierpkim głosie, którym tak nazwał cztery kompanije czerwone, pomiarkowałem, ile nienawistnych uprzedzeń wzbudziły w wojsku przepych i stopnie tych korpusów oficerów. »Ztém wszystkiém,« dodał, »ja nie przyjmę ofiary wćpana, bo ja na przykład nie umiém jechać na koniu, a potém, że ja tém nie narabiam.« — »Ależ komendancie, oficérowie wyżsi, jak wćpan, są do tego obowiązani.« — Ej! raz w rok na inspekcyi i to na koniu najętym. Ja zawsze byłem marynarzem, a potém piechurem; nie znam się na jeżdzeniu « Odstąpił ode mnie o 20 kroków i kiedy niekiedy poglądał na mnie ukosem, jakby czekał pytania; lecz ja ani słowa nie rzekłem, a ón zaczął dalej: »Wćpan nie jesteś ciekawy na przykład! powinnoby to wćpana zadziwić, com powiedział?« — »Bardzo mało się dziwię,« odpowiedziałem. — »A przecież, gdybym wćpanu opowiedział, jakim sposobem opuściłem morze, wtenczas zobaczylibyśmy...« — »A więc« odrzekłem, »czemuż wćpan nie zaczynasz, toby nas pokrzepiło, a jabym zapomniał, że mi dészcz leje po za kołniérz aż do stóp.« Poczciwy komendant batalijonu uroczyście przygotowywał się mówić z radością dziecinną. Poprawił sobie na głowie czako, powleczone cératą, zrobił ramioniami takie poruszenie, jakiego sobie wyobrazić nie potrafi ten, kto nie służył w piechocie, poruszenie, jakim żołniérz pieszy wstrząsa tornistrę, aby sobie na chwilę ulżyć ciężaru; jestto zwyczajem żołniérza, którego, zostawszy oficérem, przecie się nie pozbywa. Po takiém konwulsyjném wzruszeniu napił się jeszcze trochę wina ze swéj flaszki kokosowéj, kopnął nogą w bok swego małego muła dla zachęcenia go i zaczął:

II.

HISTORYJA ROZKAZU ZAPIECZĘTOWANEGO.

»Potrzeba najprzód wiedzieć, moje dziecię, żem się urodził w Brest. Zacząłem najprzód być dzieckiem wojska, zarabiając po pół racyi i pół żołdu od roku 9go wieku mego; ojciec mój był żołniérzem w gwardyi, lecz ponieważ lubiłem morze, podczas gdy byłem za urlopem w Brest, skryłem się na jednym okręcie kupieckim, który odjeżdżał do Indyjów; nie postrzeżono mię aż na morzu otwartém, a kapitan wolał zrobić mię uczniem żeglarstwa, jak wrzucić w morze. Kiedy wybuchnęła rewolucyja, zrobiłem już był karyjerę i zostałem kapitanem jednego okrętu kupieckiego, dosyć porządnego, włócząc się przez lat 15 po morzu. Gdy exmarynarka królewska, stara, dobra marynarka, na mój honor, naraz utraciła oficérów, brano kapitanów z marynarki kupieckiéj. Miałem kilka interesów korsarskich, które poźniéj będę mógł wćpanu opowiedzieć, dano mi komendę jednego brygu wojennego, nazwanego *le Marat*.«

»Dnia 28go *fructidor* 1797 r. otrzymałem rozkaz odpłynąć do Cayenne. Miałem tam odwieźć 60 żołniérzy i jednego deportowanego (wygnańca), pozostałego ze stu dziewięćdziesiąt i trzech, których fregata *la Decade* dniem wprzódy wzięła na swój pokład. Miałem rozkaz obchodzić się z tą osobą łagodnie, a list piérwszy dyrektoryjum zawiérał drugi, zapieczętowany trzema czerwonémi pieczęciami, pomiędzy któremi była jedna wielkości nadzwyczajnéj. Zakazano mi otwiérać ten drugi list przed 1szym stopniem szérokości północnéj na 27 do 28° długości, to jest przed równikiem. Ten wielki list miał szczególną postać. Był długi i tak dokładnie zapieczętowany, żem nie mógł nic przeczytać, ani przez rogi ani przez kopertę. Nie jestem zabobonnym, lecz list ten przeraził mię; włożyłem go w moim pokoju za szkło złego małego zégarka angielskiego, zawieszonego nad mojém łóżkiem. Łóżko to było prawdziwie marynarskie tak, jak wćp. wiesz. Lecz co mówię, wćpan masz ledwie może lat 16, nie mógłeś więc tego widzieć. Pokój królowéj nie może być tak chędogi, jak musi być pokój marynarza, mówię to bez chluby; rzecz każda ma tam swoje małe miéjsce i swój mały haczek, nic się nie porusza, niech się okręt jak chce chwieje. Sprzęty zrobione są stosownie do okrętu i małéj izdebki; łóżko moje było kufrem. Otworzywszy go spałem w nim, zamknięty służył mi za sofę, na któréj paliłem fajkę, czasem służył mi i za stół, a wtenczas siadaliśmy na małych beczułkach, które były

)(2

w pokoju; podłoga była woskowana i wytarta, jak politerowany mahoń, świécąca się jak brylant. Prawdziwe źwierciadło! O! byłto śliczny maleńki pokoik, a mój bryg miał także swoję wartość. Bawiono się tam często pysznie i podróż poczęła się i tą razą dosyć przyjemnie, gdyby nie...., lecz nie przeskakujmy. Mieliśmy dobry wiatr północno-północno zachodni i krzątałem się właśnie około włożenia listu za szkło zégarka, kiedy mój deportowany wszedł do mojéj izby, trzymając za rękę piękną kobiétkę blizko siedmnasto-letnią. On, jak mi powiedział, miał lat 19cie, piękny chłopiec, chociaż trochę za biały na mężczyznę. Był wszakże mężczyzną, i to mężczyzną, który w przypadku lepiéj się znalazł, jak wielu starożytnych mężów, co wkrótce usłyszysz. Trzymał rękę swojéj żony pod ramieniem, ona była świéża i wesoła, jak dziécię. Były to dwa gołąbki. Miło mi było patrzéć na nich. Rzekłem do nich: »No, moje dzieci! przychodzicie odwiédzić starego kapitana, to grzecznie. Wiozę was trochę daleko, lecz tém lepiéj; będziemy mieli czas poznać się bliżéj. Przykro mi, że przyjmuję panią rozebrany, lecz to dla tego, że chcę zawiesić tam w górze ten przeklęty list. Czybyście mi trochę nie pomogli.« Byłyto prawdziwie dobre dzieci. Mąż wziął młotek, żona gwoździe i podawali mi je po kolei, jakem czego żądał, a ona mi mówiła: »Na prawo! na lewo! kapitanie!« wciąż się śmiejąc, ponieważ pod młotkiem ściana się trzęsła, a zégar się wahał; słyszę ją ztąd z jéj miłym głosikiem: »Na lewo! na prawo! kapitanie!« żartowała sobie ze mnie. »Ah!« rzekłem, »mały figlarzu, powiém mężowi, aby cię wyłajał.« Ona objęła go za szyję i pocałowała; prawdziwie, lubeto były osoby, i tak zawiązała się znajomość. Wnet zaprzyjaźniliśmy się «

»Podróż nasza była także piękna, czas służył mi zawsze, jakby umyślnie. Ponieważ na pokładzie moim miałem zawsze nieprzyjemne tylko fizyjonomije, zapraszałem codzień do stołu mego moich dwoje zakochanych; bawiło mię to. Gdyśmy zjedli suchary i ryby, luba żona i mąż jej patrzali ciągle na siebie, jak gdyby się nigdy nie widzieli, wtenczas śmiałem się do rozpuku i żartowałem sobie z nich, i oni się wraz ze mną śmieli; byłbyś się śmiał, widząc nas jak troje warjatów, nie wiedzących co robiémy. Bo prawdziwie było zabawnie widzieć, jak się kochają. Wszędzie im było dobrze, wszystko im było dobre, co im dawano; tymczasem, jak my, wszyscy byli na racyi okrętowy. Dodawałem tylko trochę wódki szwedzkiéj, kiedy ze mną obiadowali, lecz tylko mały kieliszek, abym zachował moję powagę. Spali w macie zawieszonéj, gdzie okręt kołysał ich, jak ja teraz te dwie gruszki, które mam w téj oto chustce mokréj; byli weseli i kontenci. Ja nie wypytywałem się ich, tak jak wćpan mnie, i na cóż mi było wiedziéć ich imiona i interesa, mnie marynarzowi?... wiózłem ich z drugiego brzegu morza, jakbym był wiózł dwa ptaki rajskie; w miesiąc uważałem ich za moje dzieci; każdego dnia, kiedym ich zawołał, przyszedłszy usiedli sobie koło mnie; młody mąż pisał na mojém stole, to jest na mojém łóżku, a kiedym chciał, pomagał mi pisać mój dziennik; wkrótce umiał to tak dobrze, jak ja, i czasem aż się zdumiewałem, a ona, usiadłszy na małéj baryłce, szyła.«

»Dnia jednego, kiedy tak pousiadali, rzekłem do nich: »Wiécie, moi przyjaciele, że jesteśmy obrazem rodziny, jak się tu widzimy! nie chcę was wybadywać; lecz może nie macie tyle pieniędzy, ile potrzeba, i jestście oboje za delikatni, abyście mogli pracować w polu i ogrodzie, jak wszyscy deportowani w Cayenne. Jestto kraj szkaradny, mówię wam to z całego serca; lecz ja, który jestem zahartowany i zawiędły, jak stare konisko, będę tam żył sobie jak pan. Jeżelibyście mieli, jak mi się zdaje, bo nie chcę was wypytywać, cokolwiek przyjaźni dla mnie, chętnie opuściłbym mój stary bryg, który teraz już tylko jest starém pudłem, i osiadł tam z wami, jeżeliby się to wam podobało. Co do mnie, nié mam, jak pies, familii, to mi się przykrzy, wybyście mi tworzyli małe towarzystwo. Dopomagałbym wam w wielu rzeczach, a do tego zebrałem dobrą pakę kontrabandy; moglibyśmy żyć uczciwie, a po tém zostawiłbym ją wam, jak zadrę brodę, jakto mówią grzecznie.« Z rozdziawioną gębą patrzali na siebie w osłupieniu, mając minę, jak gdyby mi nie wierzyli, że szczérze mówię, a żona pobiegła,

jak zawsze robiła, rzucić się na szyję mężowi i usiąść na jego kolanach, zarumieniona i we łzach. On mocno ją uściskał i widziałem łzy w jego także oczach. Podał mi rękę i bardziéj zbladł, jak zwyczajnie. Ona coś mu szeptała, a jasne jéj włosy spływały na jego ramię; warkocz jéj rozwinął się nagle, jak lina kotwiczna, ponieważ była żywa jak rybka. Ah! włosy, gdybyś je wćpan widział, byłoto złoto. Kiedy ciągle sobie szeptali, młody człowiek kiedy niekiedy całował ją w czoło, a ona płakała, to mię zniecierpliwiło: »A cóż! czy się wam to podoba,« rzekłem na koniec. — »Ależ bo.... ależ bo... kapitanie, pan jesteś bardzo dobrym,« rzekł mąż, »lecz cóż... pan nie możesz żyć z deportowanymi i...« spuścił w dół oczy. »Co do mnie,« rzekłem, »ja nie wiém, coś wćpan takiego zrobił, że cię skazano na deportacyją; powiesz mi to kiedyś, albo wcale nie, jak sobie chcesz. Wćpan mi nie wyglądasz, jakobyś miał sumienie bardzo ciężkie i pewny jestem, że ja więcéj w życiu mojém nabroiłem, jak wćpan. Ej, idźcie biédni niewinni! ja na przykład, póki będziecie pod moją strażą, nie popuszczę was, nie spodziéwajcie się tego, prędzéjbym wam główki poukręcał, jak dwóm gołąbkom. Ale jak odepnę epolety, wtenczas nie znam ani admirała ani kogo innego.« — »Lecz,« odpowiedział, kiwając smutnie swoją czarną główką, chociaż trochę napudrowaną, jak wtenczas bywało, »lecz mnie się zdaje, żeby to dla pana było niebezpiecznie, i dla nas; śmiejemy się, bośmy młodzi, wyglądamy jak szczęśliwi, bo się nawzajem kochamy; ale ja miewam okropne momenta, myśląc o przyszłości, i nie wiém, co się stanie z moją biédną Laurą.« Na nowo przycisnął głowę młodéj żony swojéj do łona. »I właśnie to powinienem był powiedzieć kapitanowi,« mówił daléj, »nie prawdaż, moje dziécię, żebyś i ty to samo powiedziała?«... Wziąłem lulkę i wstałem, ponieważ zaczynałem czuć rosę w oczach, a to mnie nie uchodzi: »Chodźmy! chodźmy! to się wyświęci poźniéj. Jeżeli pani nie lubisz tytoniu, potrzeba abyś odeszła.« Wstała z twarzą zapłonioną i całkiem mokrą od łez, jak dziécię wyłajane: »Wreszcie,« rzekła do mnie, poglądając na mój zégar, »pan o tém nie myślisz, a list!...«

»Uczułem jakieś wstrząsnienie, włosy na méj głowie zaczęły się jéżyć, kiedy mi to powiedziała: »Do kata! nie myślałem o tém,« rzekłem. »Ah! na przykład, oto piękna historyja. Gdybyśmy byli pierwszy stopień szérokości północnéj przebyli, nie pozostawałoby mi, jak skoczyć w wodę. Trzebaż było na moje szczęście, aby to dziécię przypomniało mi ten list przeklęty. Spojrzałem prędko na moję mappę morską, a gdym obaczył, że mamy jeszcze najmniéj tydzień czasu, głowa moja uspokoiła się, lecz serce drżało, nie wiém dla czego. Dla tego, pomyślałem sobie, ponieważ dyrektoryjum nie żartuje, gdy idzie o posłuszeństwo. A więc wiém tą razą. — Czas tak prędko leciał, żem o tém zupełnie zapomniał.«

»Tak, mości panie! wszyscy wlepiliśmy oczy w ten list fatalny, jak gdyby miał do nas przemówić; co mię najbardziéj zastanowiło, to blask wielkéj czerwonéj pieczęci pomiędzy dwiema mniéjszémi, jaśniejącéj jak twarz ludzka wśród płomieni. Wdziérające się przez szczelinę słońce, które szkło zégara oświécało, sprawiło mamiący ten widok. »Nie jestże, jakby jéj oczy z głowy wyłaziły,« rzekłem do nich, aby ich zabawić. »O, mój drogi,« rzekła młoda żona, »to podobne do plam krwistych.« — »Gdzietam,« odrzekł mąż, biorąc ją pod ramię, »łudzisz się; raczéj podobne do biletu, zapraszającego na wesele. Chodź, rozerwiesz się; czemuż list ten tyle cię interesuje.«

Odwrócili się, jak od widma, i wyszli na pomost Zostałem sam przy tym wielkim liście i przypominam sobie, że z fajką w gębie patrzałem nań, jak gdyby oczy jego pociągały do siebie moje, zraszając je łzami, jak oczy wężów. Wpadłem w zły humor, wziąłem moję suknię i powiesiłem ją na zégarze, abym już nie wiédział ani godziny, ani tego przeklętego listu. Wyszedłem na pomost, aby dokończyć fajkę i zostałem tam aż do nocy. Byliśmy na wysokości wysp Przylądku Zielonego, okręt płynął z dobrym wiatrem. Noc była najpiękniéjsza, jaką w życiu mojém widziałem przed zwrotnikiem. Księżyc wschodził, wielki jak słońce; morze przecinało go na dwoje, i zabieliło się od jego promieni, jak obszary śniegiem pokryte i naszpikowane dyjamentami. Siedząc na

ławie patrzałem nato z fajką w zębach. Oficér straży i maitkowie w milczeniu uważali cień brygu na źwierciedle morza. Kontent byłem, że nic nie słyszę. Ja na przykład lubię ciszę i porządek, zakazałem wszelki hałas i wszelkie światło. Spostrzegłem przecież mały promyk czerwony, prawie pod mojémi nogami. Wnet byłbym się rozgniewał; lecz gdy promyk zdawał się pochodzić od moich biédnych deportowanych, chciałem się wprzód przekonać, co robią. Spojrzałem przez szczelinę w ścianie ich pokoiku. Ona, klęcząc, modliła się przy małéj lampie; mąż jéj, siedząc na małym tłumoczku, oparłszy głowę na rękach, patrzał na nię Skończywszy pacierze przeżegnała się z uśmiechem, jak gdyby miała iść do raju. Położyli się spać. Po niejakim czasie zapytała się męża: »Czy nie spisz? już dosyć poźno.« On ciągle trzymał się za czoło, nareszcie rzekł po kilku chwilach: »Ah!, droga Lauro, im bardziéj zbliżamy się do Ameryki, tym jestem smutniéjszy. Nie wiém, dla czego mi się zdaje, że najszczęśliwsze chwile życia naszego skończą się z tą podróżą.« — »I mnie tak się zdaje,« odpowiedziała, »chciałabym aby się ta podróż nigdy nie skończyła.« On spojrzał na nię, załamując ręce w uniesieniu, którego sobie pan nie potrafisz wyobrazić.«

»A przecież, moja duszo, płaczesz codzień modląc się,« rzekł, »to mnie martwi, ponieważ bardzo dobrze wiém o kim myślisz, i zdaje mi się, że żałujesz tego, coś zrobiła.« — »Jabym miała żałować,« odpowiedziała głosem żałośnym, »żem cię nie opuściła! możeszże myślić, że cię mało kocham dla tego, że tak krótko jestem twoją? czyliż mi matka i siostry moje nie powiedziały, żem powinna iść z tobą za morze, nie powiedziałyż, że w tém nié masz nic dziwnego, a teraz nie pojmuję, jak możesz myślić, że czegokolwiek żałuję, kiedy jestem z tobą, aby ci pomagać do życia, lub umrzéć z tobą; i nie jestże lepiéj miéć przy sobie żonę kochającą? umiém wszystkie kobiécie roboty, jestem zdrowa i silna, będę pracowała. Do tego, jeżeliby potrzeba, mogę uczyć rysunku i muzyki; a jeżeli tam czytać umieją, ty będziesz pisać.« — »Pisać!« zawołał, »pisać — ach, czemuż nauczyłem się pisać, jestto rzemiesłem szalonego! wierzyłem w ich wolność druku. Gdzież miałem rozum? Ah na cóż pisać? aby wydrukować pięć lub sześć nędznych myśli, czytanych przez tych tylko, którym się podobają; a spalonych przez ludzi, którzy się niémi brzydzą. Stało się, możem i przewinił; lecz cóżeś ty winna, dopiéro od cztérech dni moja żona, ze mną dobrowolnie dzieląca wygnanie; wiész gdzie jesteś, i dokąd jedziesz? wkrótce będziesz od rodziny swojéj o tysiąc sześćset mil oddalona. I to wszystko dla mnie!«

(Dokończenie nastąpi.)

SPIEWKA PRZY KIELICHU.

1.
Hej bracia do mnie,
Dzisiaj radość nócę,
Dzisiaj radość nócę,
Kto o biedzie wspomnie,
Za drzwi go wyrzucę,
Za drzwi go wyrzucę.

2.
Hej bracia radość
Bogów łyskawica,
Bogów łyskawica,
Sciera smutku bladość,
Rozpromienia lica,
Rozpromienia lica.

3.
Hej bracia w koło,
Nogą bijmy w ziemię,
Nogą bijmy w ziemię,
Wypogodźmy czoło,
Vivat! zacnych plemię,
Vivat! zacnych plemię.

4.
Hej bracia społem,
Cieszmy się nadzieją,
Cieszmy się nadzieją,
Gosposia za stołem!
Jéj zdrowie koleją,
Jéj zdrowie koleją.

5.
Hej bracia wino,
Słodkato jagoda,
Słodkato jagoda,
Iskry w kielich płyną,
Widać że nie woda,
Widać że nie woda.

6.
Hej bracia mili,
Trzymam kielich z winem,
Trzymam kielich z winem,
Kto go nie wychyli,
Nie jest polskim synem,
Nie jest polskim synem.

7.
Hej bracia czasy,
Owe znakomite,
Owe znakomite,
Kiedy były pasy,
I żupany lite,
I żupany lite!

8.
Hej bracia zdrowie,
Tych co pismem świecą,
Tych co pismem świecą,
To są aniołowie,
Co walczą z ciemnicą,
Co walczą z ciemnicą.

9.
Hej bracia jeszcze,
Tych co piją wodę,
Tych co piją wodę,
Sato nasi wieszcze,
Mają głód w nagrodę,
Mają głód w nagrodę.

10.
Hej bracia zdrowie
Tych co już pomarli,
Tych co już pomarli,
Ale żyją w słowie,
Biélmo nam przetarli,
Biélmo nam przetarli.

11.
Hej bracia w czyste
Tych obywateli,
Tych obywateli,
Co sławę ojczyste
Pod opiekę wzięli,
Po opiekę wzięli.

12.
Hej bracia dźwięknąć
Kielichem w podziękę,
Kielichem w podziękę,
Przed gosposią klęknąć,
Ucałować rękę,
Ucałować rękę.

— Ze Lwowa. —

Otworzony konkurs na profesora rzeźbiarstwa w uniwersytecie krakowskim znalazł dwóch współubiegających się, pana Tatarkiewicza, ucznia Thorwaldsena i pana Szymsera, znanego z prac swoich we Lwowie. Przedmiotem do wyrobienia zadanym była płaskorzeźba z historyi pisma świętego: „Wygnanie Agary z domu Abrahama.“ Codzienna Gazeta Krakowska (nr. 180. i 187.) umieściła dwie recenzyje téj wystawy, jednę z widoczną korzyścią dla Tatarkiewicza, drugą w odpowiedzi na piérwszą i zdającą się niejako wynosić talent Szymsera. Dalecy od dawania opinii naszéj w tym względzie, jako o rzeczy wcale nam nieznajoméj, winniśmy tu tę tylko uczynić uwagę, że wyrok bezstronny winien roztrzygnąć w téj sprawie i żadne uboczne względy nie powinny wpływać na zdanie tych osób, do których wydanie sądu o pracach obu tych artystów należeć będzie. Jak tylko dowiémy się komu przyznane będzie to opróżnione w Krakowie miejsce profesora rzeźbiarstwa, nie omieszkamy donieść o tem czytelnikom pisma naszego.

W *Pielgrzymie Polskim* jest nader zaszczytne wspomnienie o „Pieśniach polskich i ruskich ludu galicyjskiego, przez Wacława z Oleska.

W Paryżu wyszły właśnie Poezyje Stefana Garczyńskiego, tom 1. str. 144. Składa je poema we dwóch częściach, przepisane Adamowi Mickiewiczowi, pod tytułem: „Wacława dzieje“ i „Wizyja,“ scena fantastyczna.

Autor wyszłéj nie dawno w Bourges gramatyki francuzkiéj, M. Pietkiewicz, wydał tamże po polsku: Prawidła pisowni francuzkiéj.

Wyjmek z listu: „Co się dotyczé kupiectwa, téjto ważnéj gałęzi potrzeb ludzkich, gdzie wszystko dla nas jest do nauczenia, teoretycznie w najlepszéj szkole w tym względzie w Paryżu pięciu już Polaków jest umieszczonych, zwłaszcza za zniżoną cenę, jeden zaś zupełnie na koszcie naczelnika zakładu, zacnego pana Blanqui, który prawie jest twórcą téj użytecznéj szkoły, gdzie w liczbie 90 ze wszystkich narodów znajduje się uczniów. Pan Blanqui bardzo jest kontent ze swego ucznia Polaka, którego darmo przyjął. W ogóle ta szkoła jest nader pożyteczną, albowiem po skończonych trzech latach, to jest po wysłuchaniu przepisanych kursów, można być pewnym umieszczenia nawet w piérwszych domach handlowych francuzkich.

W Warszawie wyszła książeczka zawiérająca: Opisanie życia w. księcia Konstantego; w Wilnie Katechizm ku czci cesarza Mikołaja. I.

Do rzędu poetek polskich (pisze Tygod. Petersb.) słusznie liczyć można Leokadyją Wajtsowiczównę. Talent téj młodéj, mało znanéj, autorki jest niepospolity. Jej Sonety są pełne wdzięku: łatwość, naturalność i tkliwość szczęśliwie się łączą w jéj stylu. (Nie znamy żadnego utworu téj autorki.)

Wsławiony poematem Mickiewicza Konrad Wallenrod pochodził z dawnéj znakomitéj rodziny i dnia 25. lipca r. 1394 umarł w Malborku wielkim mistrzem zakonu niemieckiego. Obrany na tę godność dnia 20. marca r. 1391, piérwszy w dokumentach swoich użył wyrazów: *Nos Dei gratia* (My z Bożéj łaski). Wiadomo, że z Litwinami nieszczęśliwą prowadził wojnę.

W niektórych państwach niemieckich przedsięwzięto szczególniéjszy środek, w celu powściągnienia pijatyki w święta podczas nabożeństwa. Wyszło albowiem rozporządzenie, w moc którego każdy pijący jakiekolwiek trunki w czasie odprawiającego się w kosciołach nabożeństwa, upoważniony zostaje do wyjścia z szynkowni nic niezapłaciwszy.

Obecnie zachwycają się w Paryżu młodą tancérką na teatrze opery, któréj los dosyć jest dziwny. Nazywa się Varin i wyszczególnia się gracyją, elegancyją, tudzież pięknością ułożenia. Jest rodem z Rossyi oraz poddanka tamtéjsza. Państwo Varin, umieszczeni będąc przy teatrze w Petersburgu, poznali ją tam, podobali sobie z jéj zgrabności i wzięli za swoję córkę, kształcąc z korzyścią jéj talenta. Jest ona teraz ozdobą paryzkiego teatru opery.

W Paryżu miały wyjść temi czasy: „Listy Napoleona do Józefiny i Józefiny do Napoleona i jéj córki.“ Ostatnia ta, posiadając te listy, skłoniona była do ich wydania wielu fałszywémi twierdzeniami, które o sposobie myślenia Napoleona względem Józefiny znajdowały się w rozmaitych dziełach. —

Moda w Paryżu rozciąga się nawet na choroby. Febrę z wyrzutami po ciele nazywają *maladie à la Giraffe;* zgniłą goraczkę *maladie à l'Espagne;* paraliż *maladie à la Navarin;* osypkę *maladie à la Iussouf-pasza;* słabość nerwów *maladie à la Turque;* słabosc nie do wyleczenia *maladie à la ministére francais;* wapory *maladie á l'Anglaise;* raka *maladie à la libraire* i t. p.

Najpiérwszą teraz nowiną w Paryżu i przedmiotem wszystkich zajmującym jest pytanie zdybawszy się na ulicy: „Czy wiesz wćpan, że sławna miss Jack, samica słonia — jest kotna.

Najznakomitsze z pomiędzy wszystkich publicznych czytelni dzienników w Paryżu, są gabinety literackie: w ulicy nowej Augustyjanów pa. Bossange i w ulicy Vivienne Galignaniego, wydawcy dwóch gazet angielskich, wychodzących w Paryżu (*Galignani Messenger* i *Paris and London Observer*). Ostatnia czytelnia jest składem przeszło 500 gazet, zgromadzonych do trzech pokojów pana Galignaniego tłumami ze wszystkich części świata. Jestto prawdziwa wieża babilońska, gdzie o każdej porze słyszéć można powszechne zmieszanie języków. Anglicy, Hiszpanie, Niemcy, Włosi, Polacy, Amerykanie, słowem ludzie wszelkich stanów i narodów codziennie się tam zbierają. Płaci się za wstęp 8 sous, lecz zato można siedzieć i czytać od ósméj z rana do północy.

Gazety londyńskie donosiły nie dawno z Brough o śmierci żaby, urodzonéj przed potopem. Znaleziono ją bowiem przed kilką miesięcy w wielkim kamieniu młyńskim, gdzie (jak mniemają te gazety) parę tysięcy lat zaknięta być musiała.

Jedną z najpożyteczniéjszych roślin, któréj odkrycie winniśmy sir Józefowi Banks, jestto len Nowéj-Zelandyi (dwie wielkie wyspy na Morzu Cichém) *Phormium tenax*. W Cooka piérwszéj podróży jest wspomnienie o tym płodzie roślinnym, że są onego dwa rodzaje, jeden żółto, drugi pąsowo kwitnący. Ze wszystkich rodzajów włókien roślinnych *Phormium tenax* jest najmocniéjsze i co do mocy tylko jedwabiowi ustępuje. Allan-Cunnigham, podróżujący botanik, udziela następujących bliższych szczegółów z Nowéj-Zelandyi o téj pożytecznéj roślinie, którą mają nadzieję przyswoić także w Anglii, mianowicie w Irlandyi południowéj: „W latach dawniéjszych istniał w prawdzie rośliną tą niejaki związek handlowy między mieszkańcami Port-Jackson i krajowcami Nowéj-Zelandyi; lecz dopiero w czasach nowszych uważano *Phormium* za zyskowną gałęź handlową. Kupcy z Hobart-Town i Launcaster w kraju Vandiemen zwracają teraz na artykuł ten handlowy wielką uwagę; a że handel tą rośliną pomnaża się, przekonać się można z poniżéj wyrażonych podań: Podług wykazów statystycznych wywieziono rośliny téj w r. 1828 z Sidnej do Anglii 60 beczek, w wartości 2600 gwineów, ale już w r. 1830 zakupiono téjże na rachunek angielski w Sidnej 141 beczek, a r. 1831 beczek 1,062. W r. 1831 płacono za beczkę tego towaru 15 do 25 funt. sztrl. stosownie do onegoż dobroci.

Ponieważ nié ma nic nowego pod słońcem, nie jest więc rzeczą niepodobną, że raz kiedy jeszcze wódz jaki, równie jak ów Sibera, naczelnik króla Syryi, wyprowadzi na wojnę kilkaset rydwanów żelaznych. Wystawmy sobie szereg wozów parowych, który gościńcem posuwałby się ku ścieśnionéj nieprzyjacielskiéj kolumnie! Skupione siły całego wojska nie byłyby w stanie oprzéć się temu nacieraniu machin. Kolumna zostałaby rozproszona lub zgruchotana, a jeżliby się jedno z tego dwojga nie zupełnie udało, potrzeba tylko obrócić maszynaryją, a wnet wszystko, co opór stawiać śmiało, zostałoby zgniecione. A potém uważmy, jaki skutek łoskot tych powozów sprawiałby na jazdę.

Pan Corbet w Londynie odkrył nową substancyją chemiczną przy rozkładzie siarki drogą elektryki. Nazwał ją thiogenem. Jest ona biała jak śnieg, proszkowata, waży specyficyjnie 1,707. Właściwie ma wiele podobieństwa z hydrogenem. Kwas soli zamienia w chloryne. Olej i tłustość zwęgla nowym dotąd sposobem. Rozrabia fosfor łącząc się z hydrogenem i tworzy z tymże wcale nowy rodzaj nader palnego gazu.

Osobliwą jest rzeczą, że wielu znakomitych mężów naszego wieku kulało lub dotąd kuleje: jakoto: Lord Byron, Walter Scott, Lafayette, Benjamin Constant, Talleyrand, Chateaubriand i t. d.

Anglija mimo błędów swoich, mimo nędzy, długów i wydatków jest jednak najosobliwszym krajem świata. Punktem tylko będąc na Oceanie, w porównaniu z jéj własną osadą Nowo-Południowéj-Walii, w równym jednak czasie prawą ręką Wschodu, lewą Zachodu dotyka. Tysiączne jéj związki handlowe, między któremi jest wiele ogromnych, są jako olbrzym, mający oczy, które nie śpią nigdy, i uszy, nigdy niezamknięte. Interesa jéj przemysłu sięgaią najdalszych krańców ziemi. Wszystkiém zajmuje się żywo, co tylko znaczniéjszego we względzie moralnym lub politycznym zajdzie od równiku aż do północnego lub południowego bieguna. Czy w Grenlandyi dużo wielorybów, w Nowéj-Fundlandyi sztokfiszów połowiono, jak wiele zebrano futer w Ameryce północnéj; czy zrodziły się korzenie w Jawie, herbata w Chinach, bawełna w Południowéj-Karolinie, wino w Portugalii i we Francyi, cukier w Indyjach Zachodnich; jak drogie drzewo w Kanadzie, łój i len w Rossyi, pszenica w Polszcze, kawa w Turcyi; wiele brylantów wydała Brazylija, Peru złota, Malta koszenilli, St. Michaelis pomarańcz — wszystkoto nie jest obojętném w Anglii, wszystko przyczynia się do jéj narodowego bogactwa, i wywiera wpływ swój poniekąd aż do najlichszéj chaty gór szkockich. Według zdania sir Johna Hobhouse, panuje Anglija w Indyjach, po części udzielając tam innym władzy swojéj, nad ludnością 89 milijon. dusz, a berło jéj, które się nad Oceanem rozciąga, rządzi obwodem 1,108,000 mil kwadratowych.

Fancy fair nazywają w Londynie licytacyją, gdzie tego roku damy znakomite w osobnych budkach rozmaite towary na dochód ubogich sprzedają. Cały świat elegancki, szlachta, modnisie, zgoła wszystko spieszy kupować znajdujące się tam rzeczy i rozumie się, że nic nie zdaje się drogie kupującym, kiedy pochodzi z rąk pięknych kobiét i na cel piękny jest przeznaczone. Na ostatniém *fancy fair* widziano szczególnie wiele podobnych bud małych z wszelkiego rodzaju pięknie uporządkowanemi rzeczami, służącemi do zbytku, ubioru i toalety, każda buda ozdobiona była herbem sprzedającéj w niéj damy. W godzinach sprzedaży wszystkie budy otoczone były przypatrującymi się i tymi co kupowali. Budy te uporządkowane bywają według narodów sprzedających dam; w angielskich sprzedają hrabiny Denbigh, Howe, Chesterfield, Morton, Sheffield i baronowa Rothschild; w francuzkiéj księżna Dino; w rossyjskiéj księżna Liewen i hrabina Cowper; w pruskiéj baronowa Bulow i t. d. W rossyjskiéj sprzedawano hafty roboty cesarzowéj i w. księżnéj Heleny.

Pewien dowcipniś chcąc zmieszać sławnego profesora anatomii, zapytał go: „Jak długo żyć może człowiek bez muzgu?“ — Profesor anatomii odpowiedział: „Nie czytałem metryki wćpana.“

Pan Randolph, członek kongresu amerykańskiego i były poseł w Rossyi umarł w Filadelfii d. 25. maja t. r. Życie jego, równie jak Tella Szyllera, zakończyło się témi wyrazy: „I wszystkich moich uwalniam niewolników!“ Jakoż testamentem darował wolność licznym niewolnikom swoim w państwach południowych. Oprócz tego zostawił jeszcze milijon dolarów (2 1/2 mil. złr. m. k.).

W Rossyi jest przysłowie: „Potrzeba dwóch Żydów do oszukania Greka, a dwóch Greków do oszukania Rossyjanina.“

Redaktor, Mikołaj Michalewicz. — Drukiem Piotra Pillera.